

Od autora: Ostatnia część cyklu miniatur "Dawno temu w lipcu". Tytuł zaczerpnąłem z piosenki Connie Francis. Tekst tylko z pozoru o seksie, ale to zmyłka, sami to pewnie odkryjecie. Serdecznie zapraszam do czytania :)

- Skąd jesteś?- zapytała, sącząc niespiesznie drinka.

Miała około trzydziestki: miękkie, opalone ciało, talię i biodra w kształcie klepsydry, wydatne, zmysłowe usta, pociągnięte nieprzyzwoicie czerwoną szminką, drobne stopy w czarnych szpilkach, opięta, różowa sukienka niesamowicie podkreślała obfite kształty.

Była naprawdę rasowa. Poruszała się powoli, z gracją jak kocica, spokojna i pewna siebie. Ciemna blondynka z gatunku takich, że zabiłbyś, żeby choć raz z nią być, a potem wspominałbyś to przez resztę życia jak najpiękniejszy ze snów. Musiała mieć niezłe powodzenie, to rzecz oczywista. Jej głos intymnie wibrował w powietrzu jak muśnięcie czystego piękna. Był tak samo czarowny jak jej spory, dorodny tyłek, urokliwy jak wszystkie tyłki świata. Niewątpliwie wpadał w oko i ostro pobudzał wyobraźnię. Język jej ciała szeptał wszystkie gorące zaklęcia, jakie można usłyszeć w letnią, pełną parnej namiętności noc. Nie miała zbyt wielkiego biustu, ale z tym można żyć.

- Z Teksasu – odparł, ukazując śnieżnobiałą garnitur idealnych zębów.

Gdyby kiedyś zechciał załapać się na robotę modela, wzięłaby go każda agencja.

Miał ze sześć stóp wzrostu, ogorzały od słońca i nic nierobienia, widać było, że zapamiętał rzeźbi ciało ćwiczeniami fizycznymi, duże, żylaste dłonie, szerokie bary, oczy szare, przenikliwe, w markowych ciuchach i drogich butach, prawdziwy samiec, przedmiot westchnień kobiet z miast i wsi, dużych i małych, grubych i chudych, zdrowych na umyśle. Mógł mieć około czterdziestki, nie więcej. Twarz o regularnych, męskich rysach, wpadająca w oko. Zero zmarszczek, zero siwizny, kruczoczarne, krótkie włosy. Kawał byka bez grama tłuszczu. Inteligentny, wygadany, czarujący. Każde jego słowo było muzyką, w której nie znajdziesz cienia fałszywej nuty. Znał się na kobietach, czytał w nich jak w otwartej książce. Miał wyczucie, jak z nimi grać w tę piękną grę. Trzeba czegoś jeszcze?

- Widać.

- Co niby?

- Macie chyba w sobie serce Ameryki.

- Niekoniecznie.

- Są lepsi?

- O co ci chodzi?

- O bycie z kobietą.

- Każdy może być z Teksasu, jeśli wie, jak postępować z wami.
- Nikt tak nie rżnie jak wy. To prawdziwy kosmos.
- Kto ci to powiedział?
- Nieważne.
- Więc skoro nieważne, to po co mi to gadasz?
- Wyglądasz mi na Włocha, mylę się?
- Akurat ci się udało trafić w dziesiątkę.
- Masz wiecznie chętkę na baby?
- Jasne, mała, odkąd po raz pierwszy mi stanął.
- Jesteście ładni, wysocy, umięśnieni. Piękne dłonie, piękne rysy twarzy. Wchodzicie w nasze życie jak tornado: wszystko, co było dotąd uświęcone pewnym ładem, idzie w rozsypkę.
- I znikamy o poranku, bez płacenia alimentów przez ponad dwadzieścia lat.
- Ale są takie, które mają gdzieś waszą kasę. Przecież świat to nie tylko szelest banknotów. I bez nich można kupić wiele.
- O, to nowość.
- Lubią mieć wieczną pamiątkę po rasie panów. Coś na zawsze, dane na zawsze.
- Uważasz nas za panów, ale czego? Trochę mi się to źle kojarzy.
- Umiecie okiełznać kobiety. Was nie można zapomnieć.
- Lepiej znać się na jednej rzeczy dobrze niż na pięciu byle jak.
- Masz jakieś imię?
- A na co ci to?
- Masz rację, to chyba nieistotne. Ale dla mnie będziesz Giuliano.
- Niech ci będzie.
- To pozwól mi cię określić. Przecież kiedyś on lub ona zapyta.
- Pewnie tak właśnie będzie. I co wtedy powiesz?
- Że wyjechałeś w długą podróż na drugi koniec świata.
- I wrócę?
- Jasne, ale nikt nie wie, kiedy.
- Tak powinno się mówić w takich razach. To nie zabija marzeń.
- To pozwala żyć. W miarę normalnie, spokojnie. Czas załatwi całą resztę.
- Czas to niezły kumpel. Ale bywa też podłym draniem. Najczęściej jest tym, co z niego zrobisz.
- Ułożymy się jakoś. Zawsze czeka jakieś wyjście. Każde drzwi można otworzyć.
- Oby tak się stało.
- Kobieca intuicja podpowiada mi, że będzie ok.
- Który to drink?
- Pierwszy.
- I ostatni.
- Tak jest, panie Giuliano. Pańskie słowo ponad drinki.
- Sama rozumiesz.
- Nawet się o mnie troszczysz, piękny nieznajomy. To słodkie i mądre.
- Nie tylko o ciebie, mała. Nie chcę zniszczyć ci życia.
- Kiedyś, kiedy już zrzucisz krótkie spodenki, będziesz świetnym mężem, ojcem, dziadkiem. Wiem to. Ty to masz, i nie ma „chyba”.
- Dziś jest „tu i teraz”. Moje ukochane słowa. Przyszłość jeszcze mi się nie objawiła.
- Kino drogi?
- Coś w tym rodzaju.
- Powtórzysz to z inną?

- Co?
- To, co zaraz się stanie.
- Zadajesz trudne pytania.
- Jak cię jakaś poprosi? Jak ja dziś.
- Może. Niewykluczone. Nie jestem jasnowidzem.
- Jeszcze długa droga przed tobą, wieczny wędrowcu.
- Chyba tak.
- Obyś odnalazł szczęśliwą przystań. Tę właściwą. Niech umrą zegary.
- Czemu?
- Bo wtedy wiesz, że kochasz. Że to się dzieje naprawdę. Nie masz pojęcia, jaki dzień, która godzina. To nie ma żadnego znaczenia. Jest tylko chwila, ta chwila, w której się spalasz.
- Skąd to wiesz?
- Kiedyś kochałam.
- I gdzie on jest w tej chwili?
- W łóżku z następną, której obieca miłość po grób.
- Boisz się nas, boisz się znów zaufać.
- Nie jesteś takim dużym chłopcem, jak myślałam.
- Może.
- Idziemy?
- Tak.

Zeszli nad jezioro, oświetlone wieczornym blaskiem, pełnym magicznych refleksów.

Gdzieś z oddali dochodził mocny zapach maciejki.

Właśnie zapadał ciepły, lipcowy wieczór, taki, kiedy wiele może się zdarzyć, taki, który zazwyczaj już nigdy się nie powtórzy.

Niektóre wieczory są inne od pozostałych.

Niektóre chwile są jedyne i jakby wyodrębnione z gąszczy tygodni i miesięcy.

Świecą własnym światłem.

Mają aurę, której nie opisze zakrępe w pisanej literze słowo.

Intensywnie pachniały trzciny, kiedy położył ją na pomoście i rozebrał.

Delikatnie i czule, jakby był w niej zakochany, pocałował ciepłe, rozchylone usta.

Ten pocałunek trwał i trwał, kiedy ona gładziła jego włosy, a on później nieśpiesznie wodził językiem po młodym, gorącym ciele, czując, że tak jeszcze dotąd nie było, wiedział też, że tak już później nie będzie.

Bardzo ostrożnie przewrócił ją na brzuch, jakby była jego żoną, i z wyczuciem pieścił od tyłu, nieśpiesznie, podziwiając jej urodę, delektując się chwilą, a ona lekko wzdychała, czasem brakowało jej tchu, czując go i modląc się, by nie przestawał, by to trwało wiecznie, bo chciała zastygnąć w magii minut i zapomnieć o tym, co było dotąd, co dawał każdego dnia głupi, niedorzeczny świat, wstrętny oszust. Teraz było inaczej, „teraz” mogło już znaczyć tylko słoneczne jutro, wyczekiwane coś, o czym marzyła od bardzo dawna, kiedy w przypływie smutnego przerażenia budziła się często nad ranem i była śmiertelnie samotna.

Znała ten zapach, nigdy nieoswojony.

Po jakimś czasie, nagi, był już w wodzie, przysunął ją do siebie, i stojąc, wszedł w nią.

Jęknęła.

Przez chwilę nie poruszał się – był w niej i cieszył się jej ciepłem.

Było mu dobrze, jakby wrócił do łona matki, do krainy, gdzie nie ma bólu i cierpienia, jest tylko niekończąca się rozkosz i spełnienie, radość i sny, które przyniosą niespodziankę.
Coś otworzyło przed nim drzwi, a on wszedł pewnym krokiem.
Patrzył na nią i nie miał wątpliwości, że tak powinna wyglądać idealna kobieta.
Patrzył na nią jak na zjawisko, które mogło przytrafić się komuś innemu, jednak przytrafiło się jemu, wtedy, w lipcową noc, kiedy wszystko było możliwe.
Uniosła się i wsunęła język do jego ucha – był ciepły i bardzo go podniecał.
Potem delikatnie kasała je, przyciągając jego szczupłe, jurne biodra do siebie, zaborczo i ufnie, czując, jak napiera i bierze ją w posiadanie.

Nie śpieszył się, jakby wszystko, co nastąpi, zależało od niego.
Wiedział, że tak właśnie jest, że to jego mała chwila na wieczność.
Był z nią i tylko to się liczyło, ona czuła każdy jego ruch i jedynie to miało znaczenie.
I choć niebawem przyjdą kolejne czerwce i sierpnie, następne słoneczne, niezapomniane lata i mroźne, przykre zimy, coś z tej nocy w nim pozostanie, wspomnienie, które zachowa jak słodkie ciało tej małej.

Mocno obejmowała go nogami, kiedy wykonywał coraz gwałtowniejsze pchnięcia, łapczywie wpijała się paznokciami w plecy, kark, pośladki, podczas gdy on dawał jej siebie, nie myśląc o tym, że gdzieś daleko istnieje inna rzeczywistość, inne gorące kobiety, które chętnie zaproszą do wspólnej zabawy, cokolwiek by to nie znaczyło.

Obok uśpiony świat grał tysiącem jeziorowych odgłosów, muskał ich czułym oddechem – świat zawsze pobłogosławi tym, których wiąże namiętność, nawet jeśli nie potrwa ona zbyt długo.
Bo czasem to, co ważne, jest małą sekundą.
Potem jest już tylko przeszłość zakłeta w chwili obecnej.
Złoto czasu...

Był z nią po raz ostatni, kiedy z wolna budził się radosny świt, rozśpiewany ptasią orkiestrą, rozlany nad bezkresną wodą mlecznymi mgłami i zapachem dogasających ognisk.
Gdzieś, w oddali, ktoś jeszcze śpiewał zmęczonym głosem przy akompaniamencie gitary, jakby chcąc zachować ulatującą magię nocy, czasu, kiedy wszystko jest możliwe, bo wówczas można chwycić spadające gwiazdy i szeptać życzenia, które na pewno się spełnią.

Wtedy, zmęczona rozkoszą, zasnęła.
Miała piękny sen, taki, jaki śni się raz w życiu albo nigdy.
Obraz, który bardziej się czuje niż widzi, chłonie każdą cząstką duszy, nie rozumu.

O jakiejś godzinie znalazła się w niezwykłej urody parku, nad błękitną, krystalicznie czystą rzeką, pełną niewielkich, potokowych pstrągów, po której pływały jasne gondole, na spacerze z małym, wesołym, ruchliwym chłopczykiem o kruczoczarnych włosach i szarych, przenikliwych jak na swój wiek oczach, który bawił się żółtą piłką, biegając beztrudnie po tonących w bujnej zieleni alejkach, gdzie w cichym spokoju trwało nienazwane piękno, takie, jakie można przeżyć tylko w snach, i potem zachować je w pamięci, by wciąż cieszyć się tym, co, choć z innego wymiaru, jednak i tu może wejść w każdego z nas, kiedy chwila będzie ku temu, kiedy minuty ułożą się w witraż.

Jeśli istnieje pojęcie idealnego szczęścia, poczuła je wyraźnie, przez małą sekundę, jakże wymowną, niezwykłą, choć z pozoru pospolitą, śniąc na chłodnych deskach pomostu, wtedy w lipcu, kiedy spadały

gwiazdy, a księżyc, ten wieczny zawadiaka, uśmiechał się z góry w poczuciu przewrotnego zadowolenia.

Kiedy obudziła się, kochanka już nie było.

Nagle zdał się zwidem, wytworem wyobraźni.

Snem, który śni się we śnie.

Czuła tylko jego intensywny zapach na skórze i gorące pocałunki, jakby dopiero co ją pieścił.

Jej ciepłe, miękkie ciało pamiętało tę noc, tę jedyną noc, której mogło nie być.

Jednak była.

Uśmiechnęła się do siebie, i ubrawszy się, pomyślała o powrocie do domu.

Cykl: *Dawno temu w lipcu*

10 lipca 2014

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 13.09.2014 06:49

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.